

# Patrząc od innej strony

Z zainteresowaniem i pewnym dystansem śledzę dyskusje o habilitacji. Z zainteresowaniem, bo jestem zdecydowanie za utrzymaniem, a nawet podniesieniem poziomu (utrudnieniem uzyskania) habilitacji, a dystansem, bo habilitacji nie mam i mieć nie planuję (w miejscu, gdzie pracuję, nie ma takiego wymogu). I myślę, że właśnie to drugie jest przyczyną tego pierwszego. Otóż w praktyce już teraz w tzw. szkołach prywatnych dominują ludzie o bliskim zera dorobku (dziekanami są doktorzy, czasem magistry), co nie przeszkadza im grać roli „wielkich naukowców”. Gdyby znieść habilitację, ci ludzie niemal natychmiast zostaną profesorami uczelni i zaczną tworzyć teorie, że praca naukowa nie ma znaczenia, a jedynym celem uczelni jest produkcja magistrów (czytaj sprzedaż dyplomów<sup>1</sup>).

Tu warto podkreślić, że w powszechnym przekonaniu tak właśnie być powinno. Próba zwrócenia uwagi na wartość dorobku intelektualnego uczelni w najlepszym przypadku spotyka się z obojętnością. I chyba właśnie to zjawisko byłbym skłonny uznać za przyczynę niskich nakładów na naukę. Po prostu, przeciętny Polak nie widzi związku marnego rozwoju gospodarczego kraju (czyt. niskich pensji) z niewielką „produkcją intelektualną” oraz faktem, że z natury rzeczy ta produkcja w przeważającej mierze musi odbywać się na uczelniach. Traktując uczelnie jedynie jako miejsca kształcenia studentów, nie widać powodów do zwiększania nakładów na naukę, a wręcz przeciwnie, z przyczyn oszczędnościowych należy te nakłady ograniczać. Niestety tego typu koncepcje zazwyczaj są dość konsekwentnie realizowane (podział na uczelnie „naukowe” i „dydaktyczne”).

Z mojego punktu widzenia jest to szkodliwe z dwóch powodów. Po pierwsze, i może mniej istotne, w tej koncepcji wszelki dorobek intelektualny jest „prywatną sprawą” i nie ma związku z pozycją pracownika. Dlatego już teraz rządzą mną ludzie o niemal zerowym pojęciu o nauce, czego skutkiem jest brak możliwości porozumienia z nimi co do hierarchii ważności zadań. Po zmianie polegającej na likwidacji habilitacji będą to ludzie, za którymi będzie stał argument posiadania „najwyższych stopni (naukowych?)” i praktyczny brak obowiązku pracy intelektualnej jako, że będąc „profesorem doktorem”, czyli mając najwyższy stopień w hierarchii zawodowej, o dalszy rozwój starać się nie trzeba. Warto zauważyć, że podobna sytuacja nastąpiła w szkolnictwie. Tzw. awans zawodowy, mający w zamysle zmusić nauczycieli do wy-

siłku intelektualnego, został bardzo szybko zamieniony na procedurę wprowadzającą dość uciążliwą ale niezbyt merytoryczną. Drugi i chyba ważniejszy powód jest taki, że już w tej chwili niski poziom dorobku intelektualnego kraju spadnie prawie do zera. Prawie, bo resztkowy rozwój będzie odbywał się na zasadach hobbyistycznych. Można się zgodzić, że administracyjny wymóg uzyskania habilitacji utrudnia życie prawdziwym naukowcom, a niespecjalnie przeszkadza karierowiczom. Zniesienie habilitacji spowoduje, że w miejsce tego wymogu wejdą „osiągnięcia administracyjne”, które zależą niemal wyłącznie od lokalnych układów. Tym samym wymóg merytoryczny, ze znaczną składową utrudnień administracyjnych, zostanie zamieniony na wymóg administracyjny z nieznaczną składową merytoryczną. Z czysto informatycznego punktu widzenia zamiana będzie polegać na zmianie systemu „cyfrowego” na analogowy, co zawsze oznacza łatwiejszą erozję systemu. Przeżyłem już podobne zmiany w co najmniej jednym systemie i potrafię sobie wyobrazić, jakie będą skutki tej zmiany. Podsumowując, uważam, że zniesienie habilitacji (i wymogu, by do nadawania stopni było konieczne posiadanie odpowiedniej liczby habilitowanych) spowoduje dalszy szybki spadek wartości rynkowej edukacji i wynikający stąd spadek szacunku dla wykształcenia, a w konsekwencji i finansowania.

Z powyższego jednak nie wynika, że uważam, iż utrzymanie stopni naukowych (łącznie z doktoratem!) było konieczne do podniesienia jakości i ilości dorobku intelektualnego kraju. Jest wiele innych sposobów, by to zrobić. Najprostszy to wymóg odpowiedniego dorobku uczelni. Np. jeden student (prawo do posiadania jednego studenta) – 5 punktów rocznie. Można by to nieco zróżnicować: np. student pierwszego stopnia – 3 punkty, student drugiego – 5, doktorant – 10. I, oczywiście, nieważne, czy punkty „zarobił” dla uczelni student czy profesor<sup>2</sup>. Podobnie, żeby być profesorem, głównym wymogiem powinien być dorobek kandydata. I nie wydawałoby mi się niczym dziwnym, by profesorem mógł zostać ktoś bez matury. Oczywiście, jeżeli ma odpowiedni dorobek<sup>3</sup>. W rzeczywistości system stopni naukowych jest dobry w tradycyjnych dyscyplinach akademickich. Już w technice sprawdza się umiarkowanie, bo co powinno przeważać – habilitacja czy wykonanie i zrealizowanie bardzo dobrych i nowatorskich projektów? A w dziedzinach artystycznych jest czasem po prostu śmieszny<sup>4</sup>.

JERZY KUCZYŃSKI

<sup>1</sup> Uważam, że głównym sensem istnienia uczelni jest tworzenie kultury narodowej, a kształcenie studentów powinno stanowić działalność uboczną. Inaczej mówiąc, płaca nauczyciela powinna być w dużej mierze traktowana jak stypendium dla twórcy. Twórczość intelektualną uważam za „przemysł strategiczny narodu”, więc i stypendium powinno być wysokie.

<sup>2</sup> Był kiedyś taki system, że wyniki profesora słabiej wpływały na ocenę instytutu niż wyniki magistra. Nie był to zły system, bo jednak profesorowi łatwiej coś dobrego opublikować niż magistrowi. Warto dodać, że niemal wyłącznie ze względu na większą wiedzę. Przynajmniej w mojej dziedzinie.

<sup>3</sup> Odpowiednio do dziedziny. Od razu przychodzi mi na myśl Lech Wałęsa. Jako były prezydent kraju ma odpowiednie kwalifikacje, by być profesorem na naukach politycznych (może kontrowersyjnym, ale ilu „normalnych” profesorów też jest kontrowersyjnych).

<sup>4</sup> Przypomina to dyskusję prof. Ludwika Sempolińskiego z jakimś „prawdziwym” profesorem. Miał on w tej dyskusji stwierdzić: „Pan jest prawdziwym profesorem, a ja nim jestem tylko dlatego, by Łazuka mógł zostać magistrzem”. Przy całym szacunku dla osiągnięć zawodowych ludzi kabaretu, sens tej wypowiedzi jest oczywisty. Po prostu, literalne przenoszenie nawet bardzo dobrych systemów hierarchii zawodowej do innych dziedzin nie przynosi dobrych rezultatów, często deprecjonując sam system.